TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

MAOIZM DLA „PRAWICOWYCH POPULISTÓW”

Remigiusz Okraska · 23 lipca 2024

Jeśli jednym tchem wymieni się Mao Zedonga i Jarosława Kaczyńskiego, pierwsze skojarzenie zaprowadzi nas w okolice szuro-liberalnych wywodów o Kaczorze dyktatorze. Mnie interesuje jednak coś zupełnie innego. Mianowicie odpowiedź na pytanie, co i jak powinni robić, aby być skutecznymi, dzisiejsi „prawicowi populiści”. Gdzie mają zmierzać po poparcie: do politycznego centrum czy na ekonomiczne peryferie?

Uważam, że współcześni obrońcy i reprezentanci słabszych warstw, klas, społeczności i regionów, choć zazwyczaj wywodzą się z prawicy, w obecnym układzie sił coraz bardziej przejmują rolę zarezerwowaną przez długie dekady dla rdzennej lewicy. Dlatego powinni doprowadzić do logicznego końca „opcję na rzecz ludu”.

Zamiast prób pozyskania poparcia części klas posiadających i świata przywileju należy jeszcze bardziej wyraziście stawiać na słabych i akcentować ofertę dla nich.

Co to ma wspólnego z maoizmem? Dosłownie oczywiście nic. Gdy jednak myślimy o demokracji faktycznej, czyli nieliberalnej, stanowiącej władzę ludu, werdykt większości, nie zaś władzę pieniądza i plutokrację, możemy czerpać inspirację z pewnego rozpoznania autorstwa maoistów, odrzucając ich metody i rozwiązania systemowe.

CZYTAJ TAKŻE: Od socjalizmu do populizmu: wyklęty lud ziemi dzisiaj

Wieś oblega miasta

Chodzi o rozpoznanie, które w centrum zainteresowania stawiało warstwy i obszary najsłabsze, a zarazem znaczące liczebnie. Nie jest to oczywiście konstatacja odkrywcza na gruncie całego myślenia lewicowego, przeciwstawiającego zjednoczenie licznych słabych – nielicznym silnym. Maoizm jednak słusznie skonstatował, że należy brać świat takim, jaki on jest. Zachodnia myśl lewicowa w swej dojrzałej postaci odwoływała się do proletariatu jako potencjalnej siły sprawczej przemian politycznych. Robotników było w rozwiniętych, uprzemysłowionych krajach Zachodu wielu, a w dodatku stanowili oni kluczowy czynnik sprawczy całej gospodarki. Już w odniesieniu do Rosji carskiej było to jednak wątpliwe. Chodziło bowiem o kraj mało zindustrializowany, niezbyt rozwinięty, słabo zurbanizowany, a więc taki, w którym proletariat w ogóle, a szczególnie ten wielkoprzemysłowy, stanowił mniejszość społeczeństwa.

W Chinach, kraju rolniczym, wiejskim, chłopskim, półfeudalnym – było to widoczne jeszcze bardziej. Zachodnia wersja marksizmu pasowała do realiów tamtego kraju jak wół do karety. Maoiści szybko wyciągnęli z tego wnioski, przeciwstawiając lokalny konkret uniwersalnej teorii. W ich doktrynie i taktyce to lud wiejski miał być podmiotem zmiany politycznej. Wieś przeciwstawiono miastu. Mao w tekście *O*

nowej demokracji z roku 1940 akcentował, że chińska rewolucja opiera się na dążeniach i potrzebach chłopstwa – jest rewolucją chłopską. Nieliczne miasta potraktowano w tej wizji jako siedliska zamożności i przywileju. Tym bardziej, że zazwyczaj były one nieuprzemysłowione, bazujące na handlu i skupiające warstwy nieproduktywne. Stąd wzięły się doktryna ideowa, strategia polityczna i taktyka ruchu zbrojnego, które wyrażono hasłem „wieś oblega miasto".

> Rewolucyjna i uboga wieś oblega zamożne, uprzywilejowane, a także – bo maoizm akcentował również aspekty patriotyczne i narodowowyzwoleńcze – wynarodowione miasta.

Z czasem to rozpoznanie podniesiono o szczebel wyżej, tworząc wizję, w ramach której Lin Biao, bardzo bliski współpracownik Mao, wskazał jako kluczową sprzeczność w skali globu konflikt między „światową wsią" (nierozwinięte kraje, głównie postkolonialne) a „światowym miastem" (bogate państwa i ich imperializm). Podobne intuicje głosił wcześniej nasz rodak, bliski Polskiej Partii Socjalistycznej krytyk literacki Jan Nepomucen Miller, który odszedł od socjaldemokratycznej ortodoksji i zsyntetyzował ją z syndykalizmem oraz z „nacjonalizmem proletariackim" Stanisława Brzozowskiego, wskazując na istnienie „państw rentierskich" oraz tych, które są obiektem ich eksploatacji. Stąd tylko krok do, głównie latynoamerykańskiej, teorii zależności, która połączyła lewicową troskę o eksploatowane masy ludowe z „prawicową" czy „nacjonalistyczną" troską o eksploatowane kraje i narody, przeciwstawiając państwa peryferii obszarom kapitalistycznego centrum-rdzenia świata.

Po stronie ludu

Wróćmy do dzisiejszych populistów. Triumfy takich środowisk w ostatnich latach są wprost związane z pozyskaniem dużej części elektoratu ludowego, a w większości przypadków – choć są także populizmy mniej lub bardziej „korwinowskie" – również z akcentowaniem oferty socjalnej w przekazie ugrupowań „antysystemowych".

> Populiści, wywodzący się zwykle z prawicy, w ostatnich kilku czy kilkunastu latach sięgnęli po elektorat osierocony przez lewicę. Ta ostatnia w ramach swojej (neo)liberalnej ewolucji i prób pozyskania elektoratu klasośredniego oraz „proletariatów zastępczych" (mniejszości seksualne, religijne, etniczne, ponadklasowo postrzegane kobiety etc.) miała coraz mniej do zaoferowania w sferze socjalnobytowej środowiskom robotniczym, pracowniczym, ludowym, z prowincji i uboższych regionów itp.

W dodatku liberalna lewica zawarła z wielką burżuazją swoisty nieformalny sojusz dotyczący sfery kulturowej. Współczesny biznes stanowi antytezę klas posiadających z purytańskiej epoki wiktoriańskiej. Dzisiejsi miliarderzy są „wyzwoleni obyczajowo", a na eskapistycznej hiperkonsumpcji mas zarabiają kolejne miliardy. W interesie dzisiejszego wielkiego kapitału leży rozbijanie wszelkich tradycji i zastanych form życia. Proces ten wzmacniają przemiany strukturalne, np. migracje zarobkowe, wyrywające ludzi z ich macierzystych społeczności. Klasa ludowa reaguje na te zjawiska ambiwalentnie. Nie jest tak konser-

watywna jak dawniej, ale zarazem w wielu sferach usztywnia postawy i poglądy, traktując to jako samoobronę przed chaotycznym światem hiperkapitalizmu. Albo najzwyczajniej w świecie nie nadąża za kolejnymi modami suflowanymi przez kulturową awangardę liberalną. Bądź też zupełnie nie trafiają one w jej potrzeby czy wręcz bywają traktowane jako zagrożenie. Taki stan rzeczy skutkuje postrzeganiem i portretowaniem klasy ludowej jako zacofanej, jako środowisk „ciemnogrodzkich", nie dość nowoczesnych, tak lub inaczej „fobicznych". Współgra to z narracjami lewicy, która odeszła od pozycji „klasowych" na rzecz „kulturowych". Co z kolei dodatkowo odseparowuje lud od środowisk liberalno-lewicowych – postrzeganych coraz częściej jako opresyjni nadzorcy w sferze kulturowej. Paradoks dziejów jest taki, że gdy dawna lewica brała lud w obronę przed moralizatorstwem konserwatywnych klas posiadających czy kleru, to dzisiaj prawica broni owego ludu przed świeckimi postępowymi kapłanami zaglądającymi w sumienia, wirtualne polubienia, do łóżek, lodówek itp.

Wielkie pęknięcie

Analitycy wskazują na „wielkie pęknięcie" między rzeczywistością sytych a realiami życia głodnych i zarazem piętnowanych za „niewłaściwe" poglądy. Francuski badacz Christophe Guilluy wskazuje, że zjawisko to ma charakter nie tylko stricte klasowy, finansowy i kulturowy, lecz także coraz bardziej terytorialny. W jego ramach zamożne metropolie stają się jeszcze bardziej niż dawniej siedliskami przywileju, swoistymi cytadelami bogatych. W wywiadzie dla „Nowego Obywatela" mówił on: „Chodzi o secesję geograficzną. [...] Różnica między dzisiejszą burżuazją, burżuazją «cool», a burżuazją tradycyjną, jest taka, że ta dzisiejsza nie zajmuje pozycji klasowej. Odrzuca ona wizję, w której mogłaby być uznawana za burżuazję. Komunikując się, klasy wyższe używają dyskursu odwołującego się do otwartości, inkluzywności itd. Jeśli zwróci pan uwagę na to, w jaki sposób komunikuje się dział marketingu miasta Paryż, to mamy wiele takich właśnie odniesień: Paryż – miasto otwarte itd. W tym samym czasie cena metra kwadratowego mieszkania przekroczyła 10 tys. euro. To niemożliwe, żeby miasto było otwartym, mając do zaoferowania metr kwadratowy mieszkania za 10 tys. euro. [...] Większość społeczeństwa nie żyje w wielkich metropoliach, takich jak Paryż czy Lyon. Żyją często we wsiach, w małych i średnich miastach. To te przestrzenie nazywam Francją peryferyjną. Życie tam nie wygląda tak samo jak w wielkich metropoliach. Nie ma tam tak dużej mobilności, jest za to coś, co można nazwać autonomią kulturową wobec polityki głównego nurtu czy tego, co propagują media".

Ten sam badacz wskazuje na jeszcze jeden aspekt nowych podziałów i nierówności. Chwytliwej liberalno-lewicowej tezie o tym, jakoby świat dzielił się na 1% hiperbogaczy oraz 99% pozostałych, przeciwstawia inne rozpoznanie: „Model neoliberalny tworzy bardzo dużo bogactwa. Jeśli spojrzymy na takie ogólne wskaźniki jak PKB, to we Francji od 40 lat wartość tego wskaźnika tylko rośnie. Obiektywnie kraj jest coraz bardziej bogaty. A jednak mamy do czynienia z kluczowym problemem, jakim jest hiperkoncentracja tego bogactwa. I nie mówię tu o koncentracji bogactwa wśród najbogatszego 1 procenta. Mówię tu o około 20 procentach społeczeństwa. Dla tych 20 procent wszystko działa i wszystko idzie w dobrym kierunku. Jeśli spojrzymy na wskaźniki bezrobocia z podziałem na kategorie pracowników, to zobaczymy, że bezrobocie właściwie nie dotyczy kadry kierowniczej. Dla ludzi posiadających dyplom uniwersytecki ten wskaźnik też ma znikomą skalę. Obiektywnie ci ludzie mają się dobrze. Pojawiające się kryzysy ich nie dotykają, a dotyczą głównie osób najgorzej uposażonych. [...] Mamy więc do czynienia ze spójnością przekazu współczesnej burżuazji, tzn. ze spójnością jej interesów ekonomicznych i władzą medialno-uniwersytecką". Z takich środowisk, z górnych 20% obsługujących interesy wąskiej liczbowo hiperbur-

żuazji, rekrutuje się dzisiejsza lewica. Z wielkomiejskich środowisk naukowych, sektora kultury, medialnego komentariatu, z dużych NGO (które z realnym społeczeństwem obywatelskim, czyli oddolną aktywnością, nie mają nic wspólnego, przypominając raczej korporacje, tyle że nieproduktywne, bo utrzymywane przez bogaczy lub liberalne rządy) itp.

> Nic zatem dziwnego, że lud wędruje w objęcia populistów, w nich znajdując oparcie i reprezentanta swoich trosk, obaw, nadziei i interesów. Do współczesnej lewicy nie przekonuje go nawet jej sporadyczny język „wrażliwości", a wręcz „socjalizmu". Brzmi to bowiem coraz bardziej sztucznie i zupełnie groteskowo w wykonaniu środowisk o co najmniej niezłym kapitale finansowym i ogromnym kapitale kulturowym – zamieszkiwanie w dużych ośrodkach, pochodzenie rodzinne, powiązania i znajomości towarzyskie, „odpowiedni" styl życia, modne poglądy, zatrudnienie w „dobrych" i „kreatywnych" zawodach i miejscach, ekskluzywny żargon, powiązanie takich postulatów z obowiązkowym pakietem ultraliberalnej „obyczajówki" itp.

Dzisiaj partiami ludowymi są więc ugrupowania populistyczne, nierzadko wywodzące się z prawicy. W dodatku bywają one także partiami walki klas, gdy akcentują antagonizm między hiperelitą przywileju i majątku a biedotą wyzuwaną z wszystkiego.

Nawet te ugrupowania i liderzy populistów, którzy w niewielkim stopniu akcentują kwestie socjalnobytowe oraz nie podejmują decyzji prospołecznych, mają dzisiaj w środowiskach plebejskich znaczną przewagę nad liberałami i liberalną lewicą. W USA, gdzie wśród uboższych wyborców triumfował Trump, bogacz i człowiek daleki od retoryki, a tym bardziej od poczynań socjalnych, powstały już bardzo wnikliwe i ciekawe analizy – najbardziej znane spośród wielu to *Elegia dla bidoków* czy *Obcy we własnym kraju* – dotyczące tego, dlaczego klasa ludowa z ubogiej prowincji, w tym poprzemysłowego „pasa rdzy", wybiera populizm. Nawet gdy nie oferuje on jej oferty socjalnej, to oferuje brak pogardy kulturowej.

CZYTAJ TAKŻE: Nowa wiosna ludów, nie nowy nazizm

Tak głosują niezamożni

Zjawisko dotyczy właściwie całego świata jako tako rozwiniętego. Nie wyłączając naszej części Europy. Kilka ostatnich wyborów krajowych, a także niedawne wybory do Parlamentu Europejskiego pokazują stale rosnące poparcie, a nierzadko zwycięstwa populistów, trudne do wyobrażenia jeszcze półtora dekady temu w kraju takim jak np. Francja. Zwykle dotyczy to populistów prawicowych, ale warto także zwrócić uwagę na silne formacje populistyczno-lewicowe – SMER i HLAS rządzące w Słowacji czy oznaczający odrodzenie jakiejkolwiek lewicy w Czechach dobry wynik w wyborach do PE uzyskany przez koalicję *Stačilo*!, czyli narodowych neokomunistów. Wskazują one, że to nie rdzenna lewicowość jest dzisiaj dla ludu odpychająca, lecz staje się taką dopiero lewicowość pożeniona z liberalizmem kulturowym i kolaborująca ze światem wielkiego kapitału.

Triumfy populistów są wprost powiązane z poparciem ze strony elektoratu ludowego. Czy będzie to Francja, gdzie na Le Pen często głosują robotnicy, prowincja, ubodzy itp., czy Wielka Brytania, gdzie Brexit wygłosowali w dużej mierze ludzie z klasy robotniczej i podupadłych regionów poprzemysłowych, czy

triumf AfD w niemal całych uboższych wschodnich Niemczech w wyborach do PE, czy kraje naszej części Europy. W państwach postkomunistycznych widać to jak na dłoni, gdy prześledzimy poparcie dla populistów w ujęciu dochodowym, klasowym i terytorialnym.

> Zwycięstwa ugrupowań Orbána, Ficy czy Babiša są wprost powiązane ze statusem symbolicznym i socjalnym wyborców oraz z regionalno-terytorialnym rozkładem zamożności, dobrej kondycji, szans rozwojowych itp. To, z niewielkimi wyjątkami, wyborcy gorzej sytuowani, zajmujący niższe miejsca na drabinie zawodowego prestiżu i gorzej wykształceni – ale także zazwyczaj bardziej konserwatywni kulturowo. Wieś, prowincja, małe miasta – ale także regiony poprzemysłowe, w tym mocno zurbanizowane i ludne dawne zagłębia górnictwa, hutnictwa, przemysłu włókienniczego itp.

Wizje liberałów o tym, jakoby na populistów głosowali wyłącznie „zacofani wieśniacy", śmieszą na przykład, gdy mowa o Czechach. Tam populiści wygrywają w ubogich, zdewastowanych i pełnych problemów społecznych, ale mocno zurbanizowanych i wciąż pełnych przemysłu północnych obszarach kraju. I odwrotnie: liberałowie i/lub liberalna lewica mają w różnych krajach ponadprzeciętnie duże poparcie w stolicach, wielkich i zamożnych aglomeracjach, ale także w niedużych, lecz bogatych miejscowościach, wśród kadr kierowniczych, prestiżowych zawodów, w świecie biznesu, u „kreatywnych" profesji, osób dobrze wykształconych itp.

Przyjrzyjmy się Polsce, choć w dostępnych analizach exit poll brakuje tak ważnego czynnika, jakim są dochody czy możliwość łączenia kilku cech (np. dochody oraz wielkość miejscowości). Wiemy jednak, że w niedawnych wyborach samorządowych wśród mieszkańców wsi PiS zyskał 43%, czyli ponad dwa razy tyle, ile PO. W największym miastach było odwrotnie: 48% dla PO i 20% dla PiS. Wśród robotników – PiS to 44,5%, a PO niespełna 20%, podczas gdy lewica... zaledwie 4,3%. Bezrobotni – 42% dla PiS, niespełna 22% dla PO. Rolnicy – PiS to ok. 57% poparcia, Trzecia Droga z PSL w składzie 15%, a PO zaledwie niespełna 10%. Dla odmiany grupa dyrektorów/kierowników/specjalistów to 39% dla PO, 21% dla PiS, ale nagle lewicy rośnie tu do ponad 9%, czyli o jedną trzecią więcej niż ogólny wynik tego ugrupowania. Niemal 40% właścicieli firm głosuje na PO, podczas gdy na PiS niespełna 23%. Uboższe i zarazem stereotypowo uważane za „zacofane kulturowo" regiony to nawet ponad dwukrotna przewaga PiS nad PO. Podobnie z wykształceniem: osoby z podstawowym, zawodowym oraz średnim głosują na populistów znacznie częściej niż na liberałów, a trend ten odwraca się w przypadku wykształcenia wyższego.

Oczywiście takie czynniki będą dla niezbyt rozgarniętych komentatorów asumptem do wywodów, że elektorat populistów jest tępy, ciemny i łatwy do zmanipulowania, a elektorat liberalny – wykształcony i przenikliwy. Tymczasem wspomniane dane – od co najmniej dekady niemal identyczne w przypadku kolejnych wyborów do PE, sejmu czy prezydenckich – pokazują przede wszystkim usytuowanie na drabinie dochodów, prestiżu, możliwości, poziomu życia itp. To walka klas w stanie niemal czystym. Owszem, z ważną domieszką wojny kulturowej, właśnie ze wspomnianego już wcześniej powodu, że świat pieniądza i dobrej pozycji społecznej jest dzisiaj zazwyczaj także światem liberalizmu światopoglądowego.

Do centrum czy na peryferie?

Ten podział klasowo-kulturowy staje się coraz bardziej wyrazisty. Nie gwarantuje on jednak zwycięstw populistów, a tym bardziej ich politycznej i kulturowej hegemonii. Przeciwnik jest potężny, dysponując wielkimi prywatnymi mediami (tzw. wolnymi), milionami z fortun Sorosa i podobnych, technokratycznymi instytucjami typu UE i jej środki finansowe, „opinią publiczną", światem nauki i „społeczeństwem obywatelskim" siedzącymi w kieszeni tych sił itp., itd.

> Choć środowiska plebejskie, słabsze i wykluczone, stoją większościowo po stronie populistów, to tym ostatnim daleko do całkowitej dominacji w takich kręgach. Wciąż w klasie ludowej, na prowincji, wśród osób i społeczności na różne sposoby przeoranych polityką neoliberalną znajdziemy setki tysięcy osób głosujących na puste słowa i takież gesty, gołosłowne obietnice, cynicznie rozbudzane nadzieje i lęki.

Widzimy to obecnie choćby w Polsce. Liberałowie rządzą obecnie także dzięki głosom wielu słabszych. Niepomnych tego, co Tusk i spółka masowo niszczyli (likwidowane połączenia kolejowe i autobusowe, zamykane szkoły i urzędy pocztowe itp.) oraz co projektowali w ramach „rozwoju polaryzacyjno-dyfuzyjnego", czyli planowej zapaści prowincji. A nawet tego, co i jak robią już dzisiaj, gdy dewastują domowe budżety likwidacją tarcz energetycznych czy zerowym (bo niwelowanym inflacją) wzrostem płacy minimalnej, a projekt CPK zubażają o najpotrzebniejsze kolejowe linie, czyli prowadzące do regionów uboższych i wykluczonych komunikacyjnie, zostawiając trasy między siedliskami zamożności i rozwoju.

Reakcje populistów na taki stan rzeczy nie zawsze są rozsądne. Część z nich próbuje odwoływać się do elektoratu centrowego. Czym innym są takie zabiegi, gdy populiści próbują oddemonizować swój wizerunek, stworzony przez siły liberalne. Czym innym jednak, gdy próbują kokietować grupy wyborców odległe od haseł i priorytetów dotychczasowego elektoratu ugrupowań antysystemowych. Grozi to utratą części głosów ludowych, a wcale nie gwarantuje przekonania do siebie nowych środowisk. Widzimy to obecnie w Polsce, gdy PiS po wyborczych przegranych usiłuje się z liberałami licytować m.in. na postulaty skierowane do biznesu, wielkomiejskiej klasy średniej itp., jak „wakacje od ZUS" czy windujące ceny mieszkań programy kredytowe, z których skorzystają lepiej sytuowani. Jest to działanie o wątpliwej skuteczności nie tylko z powodu ryzyka utraty głosów słabszych grup, lecz także dlatego, że grupy zamożniejsze nie muszą sięgać po kopię, skoro mają do wyboru liberalne oryginały (i to w sporej liczbie). W dodatku mamy do czynienia z zabieganiem o głosy grup, dla których populiści czy prawicowi populiści to wieloaspektowy „obciach" na gruncie kulturowym i aspiracyjnym.

Znacznie lepszą drogą wydaje mi się rozpoznanie swojej faktycznej roli politycznej i społecznej, wcale niekoniecznie współgrającej z oficjalnymi nazwami i autoidentyfikacjami ugrupowań populistycznych. Ta rola jest podobna do tej, którą dawniej spełniała wyrazista lewica. Będąca głosem słabych i wykluczonych. Mobilizacją polityczną grup pozbawionych wpływów. Ruchem większości. Mimo iż część środowisk plebejskich wciąż nie ufa populistom czy nabiera się na wymierzoną w nich propagandę liberalnego establishmentu, to wydaje się, że takie grupy będzie pozyskać łatwiej niż elektorat z klasy średniej, wielkich miast itp.

Opcja na rzecz słabszych

Stąd wspomniany na wstępie maoizm. Populiści krajów Zachodu, a jeszcze bardziej naszej, uboższej części świata, powinni działać na rzecz tego, aby „wieś oblegała miasto". Oczywiście nie dosłownie, bo w Polsce lat 20. XXI w. jesteśmy na innym poziomie rozwoju niż Chiny sprzed dekad.

> Populiści powinni być partiami ludu takiego, jakim on jest. Nie przesadzać z doktrynalnym kulturowym ultrakonserwatyzmem, często sprzecznym z życiowym doświadczeniem zwykłych ludzi. Ani też z „biedyzmem" w społeczeństwie już nieco wzbogaconym i aspirującym. Jednak główny nacisk należy kłaść na ofertę dla słabszych i wykluczonych ekonomicznie oraz pogardzanych kulturowo. Tylko pozyskanie większości – a większość stanowią niezamożni, nie klasa średnia; pracownicy najemni, nie przedsiębiorcy; mieszkańcy prowincji i mniejszych ośrodków, nie Warszawy itd. – umożliwia przegłosowanie liberalnej oligarchii.

Oczywiście nawet 20 czy 30% poparcia w miastach wielkości Warszawy czy Budapesztu to sporo głosów. Należy jednak przestać mamić się wizjami naprawdę dobrych wyników w takich miejscach, przestać poszukiwać kandydatów „akceptowalnych" dla elektoratu wielkomiejskiego, przestać tracić czas i energię na aż tak bardzo nieprzyjazne środowisko. Wspomniany dystans kulturowy działa w obie strony i wciąż narasta – tak, jak lud gremialnie odrzuca liberalne elity, tak i dla wyborców „nowoczesnych" nie będą akceptowalni nawet umiarkowani kandydaci populistów. Widać to świetnie obecnie, gdy elitarno-wielkomiejska moda na „wrażliwość społeczną" zderzyła się z realnymi, szeroko zakrojonymi i pierwszymi w III RP poważnymi posunięciami socjalnymi w wykonaniu PiS. Partia ta mimo to jest dla kręgów „nowoczesnych" i zarazem deklaratywnie „wrażliwych" dokładnie tak samo „przeklęta", jak była w czasach liberalnej polityki symbolizowanej przez Zytę Gilowską. A co dopiero mówić o liberałach, dla których jeszcze bardziej odrzucający jest zestaw, mówiąc ich językiem, o treści „rozdawnictwo + mohery + Kaczor-dyktator".

Populiści powinni zatem mieć nie mniejszą, lecz większą niż dotychczas ofertę dla słabszych. Powinna to być oferta dla robotników i pracowników, z pewnymi ukłonami także ku drobnemu biznesowi (JDG, ale przy rozróżnianiu małomiasteczkowego punktu naprawy komputerów od świetnie zarabiających specjalistów z wielkich miast), bezrobotnych, rencistów, uboższych grup emerytów, rolników (znowu rozróżniając agrobiznesmenów oraz niewielkie gospodarstwa), mieszkańców prowincji (tu bowiem nawet niezły status majątkowy niewiele pomaga wobec całościowej zapaści okolicy) itp. To nie tylko kwestia świadczeń finansowych, ale także np. ulepszenia i egzekwowania kodeksu pracy, wspierania rozwoju związków zawodowych i innych reprezentacji pracowniczych, działań inwestycyjnych (np. preferencje dla lokowania zakładów w uboższych regionach), rozwoju infrastruktury i zaplecza socjalnobytowego (budownictwo komunalne przede wszystkim w mniejszych miastach, ale i zadbanie o sprawny transport publiczny między nimi a większymi ośrodkami, bo połączenie tanich mieszkań z możliwością sprawnego dojazdu do pracy pomoże przeciwdziałać wyludnianiu się takich obszarów), dbałość o usługi publiczne i interwencje państwowe w miejscach, którymi rynek nie jest zainteresowany lub oczekuje stawek nieprzystających do lokalnych zarobków większości mieszkańców. To oczywiście tylko zarys możliwych kierunków działania. Działania takie nie tylko poprawiają dolę jednostek czy rodzin, ale część z nich odbudowuje także nad-

wątlonego indywidualizmem ducha wspólnoty.

> Powinno iść za tym kulturowe i symboliczne dowartościowanie mieszkańców takich terenów, akcentowanie tego, że nie są oni obywatelami gorszymi czy mniej uprawnionymi. Jeśli stolicy należy się kolejna linia metra, to Polsce „powiatowej" jeszcze bardziej, po latach zaniedbania, należy się odbudowa sprawnej sieci połączeń kolejowych i autobusowych, bez oglądania się na jej „rentowność".

Wizja, w której „wieś oblega miasto", to nie tylko przepis na wyborcze sukcesy. To także dbałość o całościowo lepszą kondycję kraju. O jego słabszych mieszkańców i mniej rozwinięte regiony. O równość społeczną, ekonomiczną i obywatelską – jest przedziwnym paradoksem historii, że dzisiaj bardziej niż liberalno-elitarna lewica dba o nią „populistyczna prawica". Oby zadbała jeszcze bardziej.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/maoizm-dla-prawicowych-populistow/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć